

Gołębiowski, Stefan

Lustro, "Barwy", nr 8 (48), rok 5/72 :
[przedruk]

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 25, 70-85

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Żeby tylko kolana. Pewnie i głębiej sięga, żeby zgruntować do dna. Patrzcie, jaki to ma człebek wielgaśny.

Są poza zasięgiem złych języków. Już do nikogo nie należą i od nikogo nie zależą. Wbrew proboszczowi, bez żadnych zapowiedzi, postanowili z sobą wziąć ślub. Na wieki wieków.

O zmierzchu w gęstym welonie mgły znaleźli się na trzech dnach, gdzie zatopiony modrzewiowy kościół. Dorcia odpasła wzorzystą szarfę od spódnicy i na przemian związali swoje ręce jak stułą. Wilkołap łódź przechylił i tak się znaleźli na kryształowym ślubnym kobiercu. Nocą poświętnik dom ograbił i podpalił. Ogień strzelił w górę, jak gromnica. Dzwon się odezwał.

7

Łódź odwrócona popłynęła w dół rzeki. Do Jacusia i Piotra.

LUSTRO

„Barwy”, nr 8 (48), Rok 5/72

Samotność — lecz cóż po ludziach... Samotność boska czerpana z siedmiu dni stworzenia i poza te dni sięgająca nie-boska. Twórczość nieśmiertelna w dziełach sztuki wbrew pięknu przemijającemu, w którym „**chwilo trwaj**” jest zaprzeczeniem życia.

Jedynie sztuka jest zdolna chwilę tę unieśmiertelnić i w różnych kształtach objawić, lecz, niestety, wbrew życzeniom Pigmaliona bez boskiego: słowo ciałem się stało.

Samotność z rodziny Michała Anioła, który w swoim STWORZENIU łączył niebo z ziemią, jak łączył w imieniu i nazwisku człowieka doczesnego w postaci Michała z natchnionym objawieniem w postaci Anioła.

Kto się zaprzedał tej samotności, zarówno należy do rodziny strąconych aniołów, gotowy wbrew niebu z piekłem paktować, byle siebie w dziele sztuki utrwalić. Przemijającemu przeciwstawić to, co nie przemija.

Samotność boska i faustyczna przewycięża czas ograniczony doczesnością i trudno się jej oprzeć, kiedy człowiekiem owładnie, bo

jednocześnie z dziełem sztuki ten, który powołał je do życia, sam się, jakby to Norwid powiedział, zmarmurza.

Z tej samotności dwupostaciowej znalazłem jedynie prace syzyfowe. Trud daremny windowania głazu w górę na różne wysokości bez osiągnięcia szczytu, z echem staczanym w dół. Trud wiary i niewiary zarazem. Stąd wyobcowanie nad wyraz trudne do przezwyciężenia.

Od tego rodzaju pozycji bezskutecznych usiłowań już tylko krok do samotności egzystencjalnej, wyznaczonej przez fizyczne obciążenia ze świata mgły i oparów, z dwóch wojen i czasów pogardy, z przewrotu i z przemian dziejowych nowej rzeczywistości.

Człowiek z natury rzeczy jest stworzony do zdrowia, a nie do ułomności. Przez zdrowie samego siebie i swoją spójnię społeczną umacnia, a przez ułomność, mimo wszystkich pozorów spójni, obnaża własne osamotnienie, które się z biegiem lat pogłębia przez samotność nie mniej uciążliwą wieku podeszłego.

Z tą samotnością fizycznej predystynacji w bliskim pokrewieństwie pozostaje samotność prowincjonalna. Kto się skazuje na prowincję, ten już mimo woli sam siebie degraduje i przed żadnym trybunałem nie znajdzie usprawiedliwienia. Areopag twarz odwróci z niechęcią, a prowincja obojętnie przejdzie do porządku dziennego. Za dużo ma aspiracji zawężonych i nie umie jeszcze samej siebie wydobyć z opłotków zacofania.

Gorzki jest chleb życia prowincjonalnego, zwłaszcza jeśli się walczy o jego smak lepszy od przyjętego. Stąd i gorzka samotność przy wyższych aspiracjach społecznych i osobistych.

Tego rodzaju samotność umocnił jeszcze czas burzy i gromu. Przez zagładę i spustoszenie, jakie szerzył wokół siebie, przez obumieranie domu, który z ludnego stał się osamotniony, i przez samą przeszłość, która oddaliła się na dystans wielu pokoleń.

Dochodzi do tego wreszcie samotność wynikająca z charakteru życia współczesnego. W wielkim mieście z nadmiaru, a na zapadłej prowincji z niedowładu w wirze przemian społecznych i kulturalnych, którym należy kroku dotrzymać. Sytuacja dwuznaczna: serce chce coraz prędzej, a krok ledwie się wlecze.

W samotności pochylony o samotności piszę. Doszedłem do kropki i na przestanku głowę znad stołu uniosłem. W oknach ta sama noc. Między oknami lustro. W srebrnej głębi nad głową lampa.

Portret stołem ucięty. Głowa w otoku siwych włosów przerzedzonych wiekiem. Twarz moja i zarazem nie moja. Jakbym ją ujrzał na nowo. Nie jestem sam. W tej twarzy kryje się inna, jakaś dobrze mi znana. Kiedy byłem młodszy, nie widziałem jej tak wyraźnie. Była w odniesieniu do mojego wieku za stara. A teraz ją widzę lepiej, bo już jest o kilka lat młodsza od mojej.

Oczom nie wierzę. Przecież w tej twarzy widzę jakby rysy ojca. Te same bruzdy worane w czole, to samo znużenie w oczach, nos wydatny i wyraziste wargi, bez wąsów rozchylone ze zdumienia. W poprzek wykrzyknikiem rozdarte.

Odpowiadam znakiem zapytania i widzę w lustrze, jak wargi ojca poruszyły się. Czyżby w głosie moim był także głos ojca. Nie jestem tego pewien. Mimo to słyszę, jak ojciec we mnie mówi.

— Synu, rozwiązałeś język mój nie słowami, lecz milczeniem, którego wymowę znasz znacznie lepiej, niż przypuszczałem. Siebie przemilczasz i ciężarem milczenia także mię obarczasz. Pozwól, że brzemię tego ciężaru podejmę i od niego zacznę.

Byłeś moją wiarą. Przypomnij sobie, jeśli w stanie jesteś tak dawne czasy z zamierzchłej przeszłości wydobyć. Na przekór matce i wbrew innym, co nie wierzyli w ciebie, ja nazywałem cię moim synem, gdyż z matką wszyscy mówili, że z charakteru jesteś podobny do mnie i mnie samemu też się tak zdawało.

Ledwie nóżki krzywiczne wyprostowałeś, a już w swoją twardą zrogowaciałą rękę brałem twoją łapkę kurczęcia i razem szliśmy do gospodarstwa. Nie szukałem twojej pomocy. Byłeś za mały i za wąty. Szukałem twego uczestnictwa i dobrze widziałem, jak się z tego cieszysz.

Gniada obwąchiwała ciebie i kiedy poczuła, że jesteś moim synem, głowę podnosiła w moją stronę i parskiała. Na zdrowie. Odpowiadał gruby z cienkim dwugłosem, a Gniada z ukontentowania podkową dzwoniła. Na szczęście. To znaczy, żebyś zdrowo się trzymał.

Czerwona w oborze muczała, kiedyś graniasty łebek cielaczka gładził a żeś nie bał się jej rogów, lizala ciebie językiem chropawym, jak cielaczka. a potem na mnie oczy wybałuszała, jakby chodziło o kartofle.

Także Urwis, którego utemperowałem i nauczyłem sztuki służenia, jako służbista przeze mnie i ciebie więcej lubił, zwłaszcza kiedyś w miejscu kołował z nieogryzioną kością.



Stefan Gołębowski w swej bibliotece. Fot. Jerzy Dunin.



Stefan Gołębowski przy pracy. Fot. Zbigniew Dobrowolski.

Najpierw chodziłeś ze mną trzymany za rączkę, a potem już sam się trzymałeś gotowy na każde zawołanie. Za dnia w słońcu przy pracy, a wieczorem przy obejściu niosłeś latarkę i byłeś światelkiem.

Jak w gospodarstwie obcowałeś ze zwierzętami, tak w ogrodzie chodziłeś od drzewa do drzewa. Obcięte gałązki zbierałeś, zrazu podawałeś przy szczepieniu drzewek, klaskałeś w rączki, kiedy kwiatem jabłoni na ciebie prosiłem. A kiedy owoc dojrzewał, w czapce cukrówki przynosiłeś, bo dobrze wiedziałeś, że to moje gruszki ulubione.

Pod jesień wyjeżdżałeś ze mną w pole, żeby za pługiem zbierać kartofle do koszyka. Potem piekły się w ognisku, przy którym z uciechy podskakiwałeś. Nóżki po krótkich i krzywych miałeś jak szczudełka wysokie, rączkami machałeś, jakby to były skrzydła i przy małym korpusiku wyglądałeś jak bociek skaczący wokół płonącego gniazda.

Do roboty w polu i na łąkach nie bardzo się nadawałeś, lecz zawsze byłeś chętny. Nie darmo matka mówiła, że wykapany ojciec, chociaż ja byłem chłopem muskularnym o długim korpusie, a nogach i rękach przykrótkich, a ty na odwyrtkę i do tego istne chucherko. Nie wiem, jakie to były podobieństwa, ale musiały być niewątpliwie, jeśli matka tak rzeczy świadoma zawyrokowała.

Potem, kiedy ja stałem się współnikiem w dzierzawie młyna, odległego od naszego domu przeszło o dwie mile, a tyś przeszedł do nuki, coś między nami zaczęło psuć się, nie wiem doprawdy, z czyjej winy.

Nauka szła ci nie za tęgo. Zaraz u początku ruszyć z miejsca nie mogłeś. Sprawa godna pożałowania, lecz znacznie bardziej zabolalo mię to, żeś wyrobił sobie imię osła. Pozwalałeś tak mówić na siebie bez sprzeciwu. Toteż, żeby ci jeszcze bardziej dokuczyć, na dobitkę zostałeś nazwany osłem dardanelskim.

Biegły za tobą dzieci i wołały: Osioł nad osłami, zmiłuj się nad nami. Ładna litania, a ty do tego chwalileś się, że nad osłami. Zatem utarła się o tobie opinia jako o tępaku i ja poczułem się zawiedziony w swojej wierze ojcowskiej i gryzł mię rak zwątpienia.

Dopiero przyjaciel twojego brata, Boniecki, kiedy prosiłem, żeby dodał mi wiary, na dobre przejął się moimi słowami i jako nauczyciel z powołania postanowił spróbować.

Zaczął od książki z obrazkami, w której znajdował się dom, a w nim stół, piec, pies, kot, chleb, nóż i nie wiem, co tam jeszcze. Kiedy z tymi

obrazkami i słowami zapoznałeś się za pomocą rysowania, zasłaniał, przypuścmy, dom i pytał co znaczy słowo umieszczone pod nim. Obrazek był odpowiedzią. Potem wycięte słowa w różnej kolejności układał i pytał na wyrywki. Już rzadko kiedy się myliłeś.

Jakim cudem połączył to wprowadzenie w dalszą naukę, na tym się nie znam, lecz już po trzech miesiącach zacząłeś jako tako czytać i pisać. Okazało się, że tyś wiary we własne siły nie miał, a bez twojej wiary moja na nic się nie przydawała.

Jeszcze lepiej poszło z rachunków. Zaczął od zapalek, które tak rozmaicie układał, że wkrótce cztery działania przestały być dla ciebie tajemnicą i okazało się, że podobnie jak ja masz głowę lepszą do rachunków niż do innych przedmiotów.

Nie miałem już żalu, że więcej niż mnie trzymałeś się książek i wlałeś po uszy w gryzmoły, dzięki którym wyrobiłeś sobie charakter pisma w moim przekonaniu lepszy od twoich braci.

Dobre pomyślenie, podobnie jak mnie, zawsze przychodziło ci z oporem i dopiero przez upór dochodziłeś do mądrości drugiej, która nieraz jest lepsza od pierwszej lepszej z brzegu. Z tego powodu zacząłem znowu w ciebie coraz więcej wierzyć, bo jak kto dobrze pomyśli, to jakby dwa razy pomyślał.

Już wszystko układało się dobrze, lecz na nieszczęście z bagien i ze stancji wilgotnych, lepsze nie były na moją kieszeń, przypałętał się reumatyzm, który dopóty nie przestał cię w całym ciele prześladować, aż się w nogach osiedlił.

Najpierw zaczął od palca i stopy prawej nogi. Już zacząłeś z laską utykać, lecz przez stryja z Ameryki dzięki kuracji znowu stanąłeś na nogach. Niestety, przez wojsko i wojnę, która ci brata zabrała, nic nie zwojowałeś, a wiele na zdrowiu straciłeś.

Mężczyznę 20-letniego ze szpitala przywiozłem do domu i zniósłem na rękach. Ważyłeś zaledwie 40 kg. Byłeś taki lekki, a wydawało mi się, że dźwigam ciężar ponad życie.

Coraz bardziej zacząłem tracić wiarę i głównie żyłem twoją wiarą, którą żyć było trudno, bo wszyscy rychłą śmierć zapowiadali, a w najlepszym razie uciążliwe kalectwo.

Ta twoja wiara wiele mię kosztowała, bo znalazłem się bez mojej winy w ciężkiej sytuacji materialnej i między innymi na dom i na twoje kształcenie musiałem zarabiać jako furman w dalekich drogach do Płocka z sianem, z cebulą i z czym popadło.

Przez te drogi i kłopoty finansowe do reszty zrujnowałem zdrowie, ale przez twój upór, który był moim uporem, ale przez pracę, która wyrosła z mojej pracy, skończyłeś gimnazjum, a potem nauki jeszcze wyższe. Choroba jakby przycichła i zacząłeś pracować jako nauczyciel. Ożeniłeś się, lecz małżeństwo nie wyszło ci na dobre, podobnie jak kuracja.

Taka była moja trudna wiara, w siebie i tej wiary w osobie twojej, niestety, przy moim łożu śmiertelnym zabrakło. Godziny były policzone, a tyś jeszcze zwlekał i liczył, że do Wielkiej Nocy dożyję. Umarłem ze łzami w oczach, że tego czasu zabrakło dla mnie.

Dopiero dzisiaj, kiedyś odkrył w lustrze rysy mojej twarzy, po z górą czterdziestu latach odmilkłem i rozgadałem się na dobre, bo jak wiadomo, gadułą byłem nie gorszym od ciebie.

Zresztą w tym, co ja mówię i ty mówisz. Trudno dociec, kto przez kogo.

Nigdy nie palę papierosów, chociaż na kredensie leżą gotowe i łaskawie czekają na gości palących. A któż był bardziej namiętym palaczem niż mój ojciec. Sięgnąłem w tył po papieros. Zapalka trzasła i w oczach ojca błysnął ogień. Klębami dymu twarz otoczył.

Zakrzusilem się i kiedy papieros zduszony w popielniczce zgasł, ojciec w lustrze zniknął. Jakby się ukrył w srebrnej głębi i twarz moją grymasem zniekształcił.

Nie mogłem samemu sobie prosto w oczy spojrzeć i głowę z poczuciem winy pochyliłem. Upór i praca, podporządkowane wyższej konieczności, nie pozwoliły ojcu odpocząć. Nie pozwoliła również matka.

Co innego ze mną. Upór i praca tak opanowały moją psychikę, że stałem się ich niewolnikiem nie z narzuconego sobie przymusu, lecz z nałogu, Nie umiałem i nie umiem odpoczywać. Odpoczynek męczy mnie bardziej niż praca. Nawet u schyłku dnia, kiedy przez odpoczynek człowiek powinien przygotowywać się do odpoczynku ostatecznego.

Jakby wbrew temu do złożonych rąk na stole głowę przyłożyłem ciężką jak z ołowiu. Przytłoczona myślami ze znużenia straciła świadomość, jakby do innego świata należała.

Nie wiem, jak długo spałbym, gdybym nie poczuł przez sen, że straciłem ręce i zamiast swoich mam drugie z żyłami na wierzchu, podkurczone w palcach, podobne do rąk matki, ni to żywe, ni to martwe.

Głowę tętniącą w skroniach z trudem podnoszę. Dłonie leżą bezwładnie i nie bez oporu odzyskują cyrkulację. Czuję mrowie w rękach. Krew obieg ożywia i miarowo zaczyna pulsować.

Oczy od rąk odrywam i naraz w lustrze widzę krótko podcięte białe włosy matki. Takie u mnie też się zdarzają. Zwłaszcza zimą, kiedy dłuższe włosy noszę i do fryzjera rzadziej chodzę, bo na punkcie głowy mam uczulenie i po ostrzyżeniu często katar daje mi się we znaki.

Nie są to jednak moje włosy, tylko matki, ponieważ srebrem świecą. Moje nie są ani tak srebrne, ani tak białe. W lustrze grzebień je czesał, chociaż moje częściej od grzebienia wiatr chesze, nawet w pokoju, kiedy go nie ma. Złośliwcy twierdzą, że to przez podmuch natchnienia.

*Proszę nie mów
że sam jesteś
że w pokoju
twoim pusto
mówię srebrem
tylko popatrz
jestem twoje
wierne lustro
mogę służyć
za sędziego
i za świadka
w starym synu
stary ojciec
stara matka.*

Prócz włosów widzę też matki czoło wysokie i zmarszczkę w poprzek, co bruzdy przekreśla, worki wątrobiane pod oczyma i usta sztucznie uzębione. Poruszają się, jakby coś mełły lub coś jadły. Złudzenie. To jedynie dawny pokarm słowny, którym jeszcze dotąd żyję.

Słowa na pół wizualne i ledwie uchem pochwytny. — Trudno i darmo, nie ma co ukrywać. Nie byłeś, jak to mówił ojciec, moim z wyboru synem, ale pragnę ci z całą szczerością powiedzieć, że stałeś się po śmierci ojca podporą mojego życia.

Z biegiem lat coraz bardziej siebie w tobie widziałam, a nie ojca. Zacząłeś się na dobre rozkręcać dopiero blisko pięćdziesiątki, kiedy ojciec twój w tym wieku zaczął się już w sobie skręcać i tracić na

energii. Nie wiem, skąd się ona w tobie bierze, bo jej wcześniej widać nie było, jak w dawnej naszej rzece o biegu leniwym.

Przyszedłeś na świat w czasie dla mnie bardzo krytycznym. Helenka już umierała na naszych oczach, a Muś znajdował się w zagrożeniu. Dwoje wyjątkowych dzieci, z którymi tyle wiązałam nadziei.

Za słabo cię pielęgnowałam, za mało kapałam. Nieraz musiałeś się dobrze nakrzyczeć, kiedy upominałeś się o swoje prawa, i stąd wyrobiłeś w sobie organ głosu jak dzwon. Nogom niemrawym głosem pomagałeś.

Pokarm się psuł, żywiłam cię nieodpowiednio i twoje krzywiczne nogi oraz zapóźniony rozwój to w niemałym stopniu moja wina. Nawet przez głowę mi nie przeszło, że te pierwsze lata odegrają rolę tak decydującą.

Nóżki przez słońce się wyprostowały, ale niedorozwój pozostał. Poznałam go w całej pełni, kiedyś się zaczął uczyć początków czytania i prawie przez dwa lata nie mogłeś z miejsca ruszyć.

Pamiętam, jak na desce prasowałam z falbanami halkę, a tyś na stołeczku z elementarzem wciąż jeszcze tkwił na pierwszych stronicach książki. Płaczesz i łzami kleisz kartki, a moje łzy na rozpalonym żelazku syczą.

Przez te łzy zwątpiłam w twoje zdolności umysłowe i niestety, w tym zwątpieniu rodzinę całą utwierdziłam. W ten sposób coraz bardziej traciłeś wiarę i tak już słabą we własne siły.

Na szczęście dostałeś się w ręce powołane i zapóźnienie zacząłeś szybko odrabiać, dzięki usilnej pracy i rosnącej wierze w siebie samego, wbrew tym wszystkim, którzy ci ją odbierali.

W szkole i szczególnie w gimnazjum nazywali cię kujonem. Uczniem pracowitym, lecz mało zdolnym. Brat starszy jednak na twoich zdolnościach się poznał i mówił, że to jest opinia krzywdząca. Tego choćby dowodem, że żadnej klasy nie powtarzałeś.

Nie ma wszakże takiego dobrego, co by na złe nie wyszło. Gdy z nauką wszystko jako tako się ułożyło, to jakby na złość zdrowie psuć się zaczęło, zwłaszcza po wojsku, kiedy wróciłeś do domu w stanie prawie że beznadziejnym.

Mimo to po kąpielach i domowym leczeniu nie chciałeś w domu siedzieć. Nalegałeś, żeby cię śłać do gimnazjum, bo musisz maturę zdać i dalej się kształcić za wszelką cenę, nawet kosztem swego zdrowia.

Ojciec nie chciał słuchać. Mówił, że to wyrzucanie grosza na marnie, lecz ja twojej wierze zaufałam i ojca nakłoniłam, wbrew jego woli. Za bardzo mię kochał i za bardzo się ze mną liczył, żeby synowi odmówić dalszego kształcenia, choćby daremnego.

Jak wiesz, wywodzę się z rodziny chłopskiej, która dorobiła się sporego z młynem gospodarstwa i po ojcu odziedziczyłam ambicję. Co do nas, o majątku mowy być nie mogło. Ani twój ojciec nie miał głowy do tego, ani nasze skromne środki na to nie pozwalały. Mogliśmy jedynie liczyć na swoje siły i na pracę często ponad siły.

Nie miałam wykształcenia, podobnie jak mój ojciec, który jednakże miał tęgą głowę do interesów i dorobił się majątku. Mimo to na nim nie poprzestał i jedynakowi, synowi najmłodszemu, oprócz majątku ze spłatami dla córek, dał wykształcenie gimnazjalne i wyższe, jakiego podówczas na całą okolicę nikt z chłopów jeszcze dotąd nie znał.

Byłam ukochaną córką ojca i poszłam w jego ślady, choć majątek na to nie pozwalał i nie jednego syna miałam, lecz trzech. Byłam ambitna i tej ambicji wszystko podporządkowałam. Tym bardziej, że dzieci do gospodarstwa mało się nadawały, a ty już najmniej.

Nie nadawałeś się do roboty i z początku przez szereg lat nie nadawałeś się do nauki. Krzyżowałeś moje plany i ojciec przez ciebie, ponieważ miałeś wówczas więcej cech podobnych do ojca, nieraz wstydu się najadł i musiał niejedną gorzką pigułkę połknąć. Całe szczęście, że kochał mnie i ja go kochałam, że mi przebaczał i mimo wszystko uporczywie realizował moje ambitne plany w odniesieniu do synów, zwłaszcza, kiedy młyn wziął do spółki.

Nigdy w życiu nie myślałam, że dalej ty w szerszym zasięgu będziesz je realizował, i to było wielką niespodzianką mego życia. Przy budowie gimnazjum prawie że bez funduszów widziałam ojca w tobie, a przy jego organizowaniu i prowadzeniu, mimo braku wykształcenia, jakbym siebie widziała. Tak w tej swojej szkole jeszcze raz nas ożeniłeś.

Nim do tego doszło, po śmierci ojca i po odejściu żony, jako nieodrodny syn ojca starałeś się pomagać mi w czym mogłeś. Dzięki temu dom został należycie odremontowany, spichrz z gruntu przestawiony, ogród trwale sztachety zyskał. Korzystałam z twej pomocy często ponad miarę. Młodszy brat śmiał się z ciebie, chociaż bez twej pomocy, czyżby skończył gimnazjum, a cóż mówić o studiach wyższych.

Jak się później okazało, nie miał racji. Przedłużyłeś życie domu i może miało to wpływ na przedłużenie życia twego, a jeśli nie na jego przedłużenie, to przynajmniej na jego zabezpieczenie, że ci się dach na głowę nie wali.

Chciałam na starość lepiej i przyzwoiciej mieszkać, a dogodziłam nie tylko sobie, lecz przede wszystkim tobie. Tak to czasem bywa nawet z oszczędzaniem. Gdybyś pieniądze na książeczkę składał, i koń by się uśmieł, co by z tego wyszło.

Twój ojciec swego czasu nie posłuchał mię i źle na tym wyszedł. Gdyby z wybuchem pierwszej wojny światowej nie żałował sturubłówek z Katarzyną, jak radziłam, mielibyśmy dom stokroć piękniejszy.

Cóż jednak było robić z uparciuchem. Kochał, co stare i staremu wierny pozostał, a ja wolałam wszystko co nowe i nie wiem, dlaczego, podobnie jak ty, wciąż musiałam tkwić w starym, mimo wszystkich najbardziej gruntownych remontów, ale zawsze w starym.

Z nowego jednak całkiem nie zrezygnowałam. Stare zdobiłam kobiecym umiłowaniem domowego i ogródkowego piękna. Jeszcze do dziś wiszą u ciebie portiery lniane z moją merezką i barwnie wyszywanyimi kwiatami. Na stoliku widać gipiurową serwetkę, na stole obrus przeze mnie haftowany. To zaledwie resztki z moich zajęć umiłowanych. Zimowy odpowiednik letniego piękna czerpanego z ogródka, o którym mogłabym, wiesz, mówić bez końca. Tak jedno piękno z drugim wiązałam.

Nie wiem, skąd ci przyszła ochota do pisania wierszy. Nie znam się na wierszach, lecz niektóre z nich są tak delikatne, jakby igielką pisane w moich krosienkach.

Kochałeś piękno wierszy przez starszego brata i wieczory pod lampą z moim abazurem, jak ja piękno kwiatów i to się po latach w tobie odezwało w wieku, kiedy już inni od wierszy odchodzą.

Ambicje wygórowane i umiłowanie piękna, u mnie bardziej ograniczone, twoje szersze i całkiem inne, mimo że do pewnego stopnia łączyły nas, lecz zbliżyć nie mogły.

Nie pieściłam cię w latach dzieciństwa czy za mało pieściłam, dosyć na tym, że najpierw przeze mnie, a później przez ciebie powstał dystans, którego mimo wieloletnich usiłowań z mojej strony nie zdołałam przewyciężyć i obdarzyć cię bezpośrednią czułością matczyną.

Kochałeś mię tym, co robiłeś dla mnie — a robiłeś niemało — w słowach jednak nie byłeś nazbyt wylewny. Zarówno w radości, jak

w nieszczęściu trudno dostępny i samowystarczalny. Łatwy w obejściu i z rezerwą w zbliżeniu. Jakbyś oporów nie umiał przewyciężyć.

Nie byłeś moją wiarą, ale tą wiarą stawaleś się, kiedy w sobie zacząłeś wyzwalać siły usłpione i coraz większą wiarę w te siły. Wiarę nie bez słabości ukrytej. Uznawaleś doczesną, a odrzucałeś wieczną.

Mówię, jakbym groch na ścianę rzucała, ale mówić muszę, choćbyś słuchać nie chciał. Takeś się z całej rodziny wyłamał, jakbyś nie był jej uczestnikiem, lecz wyrodkiem godnym potępienia.

Wiem, że do tej niewiary religijnej doszedłeś drogą życiowych prób i doświadczeń, że uznajesz tę niewiarę za swoją sprawę prywatną, ale pamiętaj, że tym wyłamujesz się z naszego domu.

Jesteś ostatnim — Jędrusia, po najmłodszym przez hitlerowców zamordowanym, nie liczę, prawie nic go z tym domem nie łączy — i powinieś dzieje tego domu zamknąć zgodnie z tradycjami dotychczasowymi.

Dotąd słuchałeś mię i nie odmawiałeś, o co prosiłam, a teraz czuję się taka bezradna i słaba. Milczysz i widzisz, jak się rozpliwam w twoich oczach bez żadnego wyrazu.

Twarz ukryłem w dłoniach ze sprzecznymi uczuciami. Wiara w Boga walczy we mnie z niewiarą i w walce tej nie ma ani zwycięstwa, ani klęski do czasu, kiedy ustąpią miejsca wierze jedynej — w człowieka.

Jak tę wiarę wyzwolonej przyszłości pogodzić z dziedziczną przeszłością, w tym jest pytanie nie tyle hamletyczne, ile antagonistyczne, w którym to, co się kończy współegzystuje z tym, co się zaczyna.

Są to sprawy wielce złożone i zawile, gdyż dwie prawdy nie są jedną. Tyle tylko, że dają materiał do szerszych dywagacji w poszukiwaniu siebie i dowodzą, jak trudno własne oblicze odnaleźć.

W tym aspekcie pracowitość, upór ojca i ambicje matki mieszają się z moimi własnymi, które przez swoiste warunki fizycznego upośledzenia i życia psychicznie zapóźnionego z siebie sam wydobyłem.

W chwiejnej równowadze nie wiem, w którą stronę się przechylić. Nie doceniać siebie i sprowadzać do wspólnego mianownika czy przeceniać w swej ważności wartość licznika. Jakby pomiędzy skromnością i zarozumiałstwem istniała prawda bez fałszu.

To rozdwojenie w poglądach na dziedziczność i samodzielność, kiedy twarz wydobyłem zza krat palców, wydawało się również istnieć w moim własnym odbiciu.

Nie mniej trudny problem od poprzedniego. Czy bliższa prawdy jest moja twarz, której własnymi oczyma ujrzeć nigdy nie zdołam, czy ta srebrna w lustrze prezentowana przez ludzi, którzy mię dobrze od lat znają, podług przyjętych schematów szufladkują, miarodajny sąd ferują i uzurpują sobie prawo głosu.

Mówić nie mogę. Maski własne odebrały mi głos.

— Przede wszystkim za wiele uwagi przywiązujesz do swoich niedoborów fizycznych i zaniedbań rozwojowych, które dawno przeżyłeś. Sprawy te obecnie, kiedy jesteś w sędziwym wieku, już nas ani ziębią, ani grzeją. Nawet podziwiamy, że jesteś w tak dobrej formie, jak nigdy nie byłeś. Dbasz bardziej o swój wygląd zewnętrzny i wcale nie wyglądasz na człowieka pokrzywdzonego przez okrucieństwo losu.

— Życie idzie naprzód, a ty jesteś podobny do dawnego. Z lada powodu stajesz się krzykliwy i niejeden mówi, że musisz być ciężki w pożyciu, chociaż twoja gosposia jest innego zdania. To nic nie przeszkadza. Sam wiesz, że można ci niejedną łatkę przypiąć i niejedno palcem wytknąć.

— Przez pewien czas dwoiłeś się i troiłeś. Było pełno ciebie i to cię w oczach amatorów gry dwuznacznej zgubiło. Z pocałowaniem szkolnej klamki zamknąłeś się w domu i rzadko kto cię widzi. A jak się kogo nie widzi, to się najczęściej mniej mówi. Tak też i z tobą.

— Ludzie starszego pokolenia znają ciebie lepiej, ale już nie tak dobrze, jak myślisz. Starych pamięć zawodna, toteż różnie o twoich pracach opowiadają. Za co jeden cię chwali, drugi gani. Zgody nie ma mopanku.

— W pracach i poczynaniach byłeś za wielki indywidualista, taki sobie zapowietrzony Judym w zapowietrzonej przez bagna ziemi jurandowej, tak ją bowiem nazwałeś, że to niby była ślepa, bez ręki i bez języka.

— Diabłu się zaprzedałeś, żeby tylko swego dopiąć, i jesteś diabłem kulawym. Diabłu się zaprzedałeś i do diabła wszystko idzie. Szkoła, duma całego twojego życia, powiatowi kością w gardle stanęła. Rzeka po uregulowaniu straciła ryby i dzikie ptactwo wodne. Stała się rowem ściekowym. Nic dziwnego, że za podobne prace, również na różnych drogach podejmowane, spotkała cię odpowiednia do zasług zapłata. Poszedłeś sobie do czorta.

— Nazywasz się społecznikiem i co masz z tej społecznej roboty. Tyle co kot napłakał. Frajerów nie ma. Lepiej kurnik postaw, a jeśli nie postawisz, to i tak zginiesz wśród kurników. Nie żartujemy. Całą politykę gospodarczą mamy za sobą. Z pyszna się będzie miał, kto z kurnikami zadrze.

— Dla nas młodych, co robiłeś, nie ma większego znaczenia. Była prowincja zapadła i żaden dziennikarz nie powie, że już jej nie ma. Uczniowie, jak dawniej z tych stron uciekali, tak teraz dalej uciekają. Niedobitki, jak panoszyły się, tak panoszą.

— Co robiłeś, to i tak by Polska Ludowa zrobiła. Świat idzie na przód i nie ma co się dziwić, że oblicze ziemi się zmienia. Powolne tempo przemian nikomu już nie zaimponuje. Dostyc mamy dreptania starczego.

— Za drugie piętnaście lat to dopiero będzie skok, nawet w tym kukułczym powiecie, który wciąż dziób otwiera i stale jest głodny i gotów cały powiat zjeść, byle się utrzymać i trochę w piórka podróść.

— Wstyd będzie przypominać, co widziałeś, co robiłeś i czym się zachwycałeś. Oczy już dziś mamy zwrócone do coraz wyższych udoskonaleń technicznych, do coraz szerszych możliwości naukowych i artystycznych. W jednym roku skrócimy cię o całe życie.

— Prowincja, o której tyle piszesz i której jak Don Kichot bronisz, zginie i wsiąknie w świat wyższych aspiracji. Zatraci się stopniowo różnica pomiędzy miastem i wsią.

— Zaprzęgniemy komputery do planowania zamiast twoich liczydeł. Urealnimy cyfry, żeby raz już skończyć z planami na wyrost, z mierzaniem pracy na zamiary, wbrew rachubom i możliwościom realizowanym w czasie i w ludzkim zaangażowaniu.

— Do tego świata ty nie pasujesz i całe szczęście, że należysz całkowicie do wieku dwudziestego, z perspektywą na dziewiętnasty, i nie masz prawa sięgnąć do 2000, chociaż na ten rok przypadnie setna rocznica twoich urodzin.

— Przyszędłeś na świat w pięć dni po WESELU i w setnym roku dramatycznego przedstawienia powstanie tak przedziwna koncepcja reżyserska, że nareszcie z Weselem Wyspiańskiego oryginalne nowatorskie przedstawienie nie będzie miało nic wspólnego.

Przez maski zostałem zdemaskowany i wreszcie zacząłem mówić w imieniu własnym, w monologu wewnętrznym, w którym osoba pierwsza nareszcie dochodzi do własnego głosu.

Nie ma!o zawdzięczam rodzicom, sam nie wiem, ile sobie, lecz najwięcej, chociaż różnie o mnie mówili i mówią, ludziom, wśród których żyłem, nie z tego powodu, że w ten czy inny sposób pomagali mi, ale że wierzyli we mnie i z nich czerpałem moją wiarę.

Zaczęła się ona od chwili przełomowej. Od pięciu minut wyjątkowych w moim życiu. Po trzecim Plenum, wysunięto moją kandydaturę na radnego wojewódzkiego. Nie chciałem z początku nawet słuchać i różnie swoją odmowę argumentowałem do chwili, kiedy w sali padło gniewne: Idź, agituj krzywymi nogami na bagna.

Porażony słowami zapomniałem języka, nie z oburzenia, że wytykały moje kalectwo, lecz z nagłego olśnienia, że temu kalectwu nadały jakąś siłę mobilizującą do wydobycia z bagien doliny Wkry.

W związku z tym przeżyłem owe pięć minut, jakich w życiu nigdy nie miałem i mieć nie będę, jako 38 mówca na pierwszym zebraniu Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Zacząłem od: Najpiękniejsze i najzdrowsze z wszystkich ziemi jest Mazowsze. O swoistym pięknie tej ziemi nikogo nie będę przekonywać. Ziemia ta jest sercu naszemu bliska i już przez to samo piękna. Można się zgodzić nawet, że najpiękniejsza, ale czy najzdrowsza, tego już tak pewien nie jestem, bo temu moje nogi przeczą. Nie tylko moje. Za mną stoją podobni. Jest ich legion żywych i umarłych młodością wcześniej utraconą.

Regulacja rzeki i zagospodarowanie doliny Wkry decydują o zdrowiu przez gruźlicę wypluwanym, przez reumatyzm pokręconym, decydują o łąkach dotąd kwaśnych i pastwiskach z suchotniczymi krowami, o polach podmokłych, o drogach nieprzejezdnych, o całym zaniedbanym życiu gospodarczym. Kiedy na pomoc ruszy koparek rząd.

Nie same słowa decydowały. Nigdy bym tak nie przemówił, gdybym nie czuł za sobą tych wszystkich z mojego Poleskiego Mazowsza wołających we mnie różnymi głosami i gdybym nie czuł, że wiary ich pokładanej we mnie nie mogę w żaden sposób zawieść.

Tyle się od czasów mitycznej Grecji mówi o Anteuszu i sile jego, kiedy czuł ziemię pod nogami. To jeszcze za mało. Obok anteuszowego związku z ziemią istnieje również anteuszowy związek z ludźmi. Ten jest stokroć ważniejszy i decydujący nie tylko w pracy społecznej.

Przez ten związek anteuszowy z działalnością społecznej i kulturalnej wyniosłem przekonanie, że życiu memu nadała sens. Nie jednora-

zowy, lecz stale odnawiający się sens istnienia, który decyduje o wartości dorobku skazanego na zapomnienie wobec ogromu potrzeb narastających.

Nie była to droga łatwa. Od dzieciństwa przez młodość, wiek dojrzały aż po schyłek szedłem przez szereg klęsk i więcej zawdzięczam klęskom niż zwycięstwom. Klęski mobilizowały mnie do walki, a zwycięstwa najczęściej rozbrajały.

Przez klęski dźwigałem się z upadku i odnawiałem wolę życia, które toczyło się na prawach stałego odraczania wyroku. Zapowiedź jednego ustępuje drugiemu, trzeciemu i coraz nowemu, i coraz dalszemu w procesie warunkowych odroczeń.

W ten sposób doszedłem do wieku poważnego, który zawdzięczam nie mniej sobie, jak ludziom, co mi sił dodawali w podejmowaniu wciąż nowych zadań, na przekór wszystkim dotychczasowym wyrokom.

Jak dotąd w sobie i w lustrze żyję i żyć będę do czasu, aż je prześcieradło śmiertelne przysłoni.

FORTUNAT

„Miesięcznik Literacki”, 1972, nr 1 (65)

Stworzenia świata nie było. Świat nie został stworzony. Na obraz i podobieństwo wegetacji. Nieciecz powstrzymana w biegu i Bieluć powstrzymany w rozwoju.

Małomiasteczkowe środowisko dulskie. Jakby ruchliwe i zabiegliwe, lecz ruchliwością i zabiegliwością nade wszystko o dzień dzisiejszy. O chleb powszedni. Bez widoków na odmianę i bardziej racjonalną egzystencję. Zamknięte we własnym ekskluzywnym szwargocie.

Do tego żydowskiego świątka, jak ułał, pasował miejscowy ośrodek szewców. Dobrze znany z rzemiosła tandetnego, z przedsiębiorczości handlowej, z machinacji nieuczciwych i z wielkiego przyrostu naturalnego dzieci chodzących bez bucików, co najwyżej w korkach i chodaczkach.

Fach nagminny, główny albo dodatkowy, bo bez kopyta łatwo wyciągnąć kopyta. Z samej ziemi nie wyjdziesz. Ozimek, zagon pod karto-